



104 CzasKultury 5/2011

# Po stronie żywych

z Mariuszem Czubajem

rozmawia Marcin Cielecki

fot. archiwum prywatne



Kryminał, jak pisał Umberto Eco, to opowieść kosmologiczna: historia o kreowaniu świata, ale też walce porządku z chaosem.

Piotr Schmandt w książce Pruska zagadka przedstawia scenę rozmowy komisarza Ignatza Brauna z pokojówką. Kobieta stwierdza: „Wiem, jak się robi przestępstwa, bo ja lubię powieści kryminalne. Czytam sobie kryminały przed snem, bo romansów czytać nie lubię. Wszystkie kończą się tak samo”. Panie Mariuszu, dlaczego czytamy kryminały? Wszak wszystkie kończą się tak samo...

Po części udzielił pan odpowiedzi na to pytanie. Czytamy kryminały, ponieważ jesteśmy przywiązani do żelaznych reguł gatunku – wszak zdecydowana większość autorów je respektuje. Oczywiście odpowiedzi jest wiele, one zresztą raczej się dopełniają niż wykluczają. Pytałem o to moich zaprzyjaźnionych Szwedów, a przecież – dobrze wiemy – kto jak kto, ale Szwed powinien znać odpowiedź na takie pytanie. I co usłyszałem? Ano, mówią mi: my od ośmiu pokoleń nie mieliśmy wojny na naszym terenie, jeździmy po Sztokholmie 40 kilometrów na godzinę, żyjemy w zasadniczo spokojnym kraju, więc potrzebujemy tej adrenaliny – tego fabularnego naddatku emocji, których oszczędza nam życie.

Powieść kryminalną rozpoczyna na dobre opis martwego ciała. Ten opis jest najczęściej dokładny, autor mnoży szczegóły, a im więcej makabreski, tym większa u czytelnika ciekawość. Skąd to żywe zainteresowanie trupem? Wszak wizerunki martwych są na porządku dziennym w codziennych wydaniach serwisów informacyjnych i wszechobecne w mediach.

Tyle że w mediach mamy do czynienia ze zbrodnią, jak to mówię, AGD: szwagier szwagierkę nożem kuchennym, widłami, siekierą, kamieniem, słowem – tym, co w danej chwili znajduje się pod ręką. Zdarzają się, owszem, zbrodnie spektakularne, ale one są jednak domeną fikcji. Tu nie chodzi o trupa, ale o ciało; żyjemy w czasach, gdy to właśnie ciało jest głównym miernikiem szczęścia, powodzenia, sukcesu, a przykładów mamy bez liku: od solariomanii po Taniec z gwiazdami. Ale odwrotną stroną tego medalu jest strach przed – metaforycznie mówiąc – oszpecceniem. Strach przed degradacją ciała, ale tym samym degradacją społeczną. To naprawdę działa.

Zafrapowała mnie przywołana w Pańskiej książce Etnolog w Mieście Grzechu wypowiedź słynnego tanatologa Vladimira Jankelevitcha, który zauważa: „Miłość do trupów jest typowo katolicka. Katolik jest nekrofilem, nekrolubem, woli nieboszczyków od żywych.

Ta miłość wyrasta z teologii i ma dogmatyczne podstawy, chodzi nie tylko o zmartwychwstanie ciał, ale również o coś w rodzaju religii śmierci, która tłumaczy wiele ważnych aspektów cywilizacji chrześcijańskiej: umiłowanie śmierci, miłość do zmarłych, fascynację śmiercią, fascynację tym, co upiorne, a od czego człowiek, moim zdaniem, powinien trzymać się jak najdalej. Chrześcijaninowi nie jest wcale pilno pozbyć się zwłok”. I wydaje się, że coś w tym jest, wszak wszędzie wieszamy Ukrzyżowanego. Czy jednak Jankelevitch nie przesadza?

Ojciec francuskiej tanatologii chce czytelnika sprowokować i tak odbieram tę filipikę. Zapewne sprawy nie przedstawiają się tak prosto, jak je przedstawia Jankelevitch, ale proszę tylko zwrócić uwagę, jak znakomicie idea cierpienia łączy się w dzisiejszej kulturze popularnej na przykład z opowieściami o celebrytach walczących z rakiem lub innymi chorobami. W tym przemieszaniu idei, tym osobliwym You Can Dance ze śmiercią jest coś perwersyjnego – nawet dla antropologa, którym jestem.

+

Wygналиśmy śmierć z naszych domów, umieramy dyskretnie za szpitalną kotarą. Kryminał pomaga nam, współczesnym, dotknąć martwego ciała?

Pomaga. Zwłaszcza że w kryminale mamy do czynienia na ogół ze śmiercią jednostki. W przekazach medialnych z reguły mamy hekatombę – katastrofę albo zamach. W ostateczności: śmierć vipowską, a więc przekraczającą reguły śmierci codziennej. W tym kontekście ciekawy był przypadek ben Ladena, na którym wykonano egzekucję i, niejako ex post, dowartościowano tę śmierć, wskazując, że jednak nie był to terrorysta emeryt, ale wciąż groźny wróg publiczny numer 1, że nie była to egzekucja, tylko akcja sił specjalnych itd. Kryminały opowiadają także o martwym ciele w stadium codzienności i prozy.

Zajmuje się Pan kryminałem naukowo, badając go z pasją antropologa. Co antropolog widzi w kryminale?

Widzi drobiazgi. W pierwszej kolejności – szczegóły i detale, z których utkana jest fabuła. Gdy z Markiem Krajewskim pisaliśmy Różę cmentarne, pojechaliśmy na badania terenowe do Władysławowa. I zauważyliśmy, że wszystkie napotkane barmanki otwierały puszkę z piwem za pomocą noża, łyżeczki, widelca i tak dalej. Dlaczego? Bo wszystkie miały tip-sy. Wykorzystaliśmy tę obserwację, by uwiarygodnić nasz świat powieściowy. I bardzo często z takich właśnie mikropraktyk kulturowych zbudowana jest w kryminale rzeczywistość. Antropolog w takim świecie może czuć się jak ryba w wodzie.

Zapytam przekornie: a co teolog mógłby zobaczyć w powieści kryminalnej?

Dlaczego przekornie? Kryminał to przecież, jak pisał przed laty Umberto Eco, opowieść kosmologiczna: historia o kreowaniu świata, ale też walce porządku z chaosem. Nie mówiąc o moty-

wie teodycei – przecież kwestia obecności zła i uzasadnienie tej obecności nurtuje wielu pisarzy powieści kryminalnych, nawet jeśli odpowiedzi nie poszukują w wymiarach transcendencji, ale w widzialnym, conradowskim świecie.

Przez pewien czas wydawało mi się, że kryminał stworzony jest dla rozważań religijnych. Główne tematy to zbrodnie, czyli grzechy, poruszamy się w obrębie pojęć religijnych, takich jak zło, upadek człowieka, sprawiedliwość, kara i pokuta.

No właśnie. Sam pan widzi.

Autorzy często sięgają po przykuwające uwagę tytuły, ocierające się o sferę religijną, takie jak Koniec świata w Breslau Marka Krajewskiego, Wybawiciel czy Pentagram Jø Nesbo czy ostatnio Pokuta Olle Lønnaeusa. Odnoszę jednak wrażenie, że kryminał zatrzymuje się w potowie drogi. Czy kryminał daje lub może dawać odpowiedzi na pytania z gatunku unde malum, skąd zło?

Próby odpowiedzi pojawiają się zarówno w wymiarze psychologicznym, jak i socjologicznym. Musimy jednocześnie pamiętać, że te ważne pytania nie są domeną kryminału. I dobrze o pewnych proporcjach pamiętać. Harlan Coben, mistrz w swoim fachu, to nie Fiodor Dostojewski, a Nie mów nikomu to nie Bracia Karamazow. I chwała Bogu!

W Etnologu w Mieście Grzechu wspomina Pan o żelaznych regułach pisania kryminałów: żadnych ufoludków, żadnych błakających się dusz ani anielskich ingerencji. Ostatnio Mons Kallentoft ze swoim cyklem o komisarzu Malin Fors wprowadził niemal na równych prawach głosy umarłych. Daje to piorunujący efekt...

Akurat do wielbicieli Kallentofta nie należę. Natomiast Nocna zamieć Johana Theorina, dziejąca się na Olandii, wśród charakterystycznych stepów, wichrów, fal Bałtyku i opustoszałych latarni morskich skrywających dawne tajemnice... No... to jest naprawdę coś. Trochę tak, jakby Mickiewicz napisał drugą część Dziadów, ale w formie powieści kryminalnej. Znakomita rzecz!

W zeszłym roku ukazała się książka Pawła Goźlińskiego *Jul. Niesamowita*, bardzo bliska tego, co można roboczo nazwać „kryminałem metafizycznym”...

No i właśnie osadzająca zdarzenia w kręgu polskiej emigracji czasów romantyzmu. Ciekawie pomyślane.

Theorin, Goźliński, Kallentoft... Czy „kryminat metafizyczny” będzie, Pana zdaniem, wypierał ten tradycyjny, ufający bardziej oku i szkiełku procedury policyjnej i analizy laboratoryjnej? Mam wrażenie, że te nadzieje są płonne, o ile dobrze rozumiem pańskie preferencje. Nie oszukujmy się: w kryminale dominuje tendencja do odczarowywania świata i tym samym odczarowywania zbrodni. Zagadki CSI, kody DNA, policyjne grupy archiwum X rozwiązujące dzięki postępowi nauki sprawy sprzed lat, Lincoln Rhyme – bohater powieści Jeffery’ego Deavera, uwięziony na wózku kryminalistyk, wyposażony wszakże we wszelkie nowinki techniczne... To jest świat współczesnego kryminału. Nie ma dla pisarza, parającego się tym gatunkiem dziś, większego przekleństwa niż telefony komórkowe. Stan niewiedzy praktycznie nie istnieje. Rozwiązania, że ktoś jest poza zasięgiem i dlatego nie otrzymuje na czas ważnej informacji, są mało przekonujące. Dlatego między innymi autorzy chętnie sięgają po formułę metafizyczną oraz odmianę retro, gdy kryminalistyka i medycyna sądowa znajdowały się jeszcze w powijkach.

Napisal Pan powieść kryminalną *21:37*, w której zbrodnia i wina dotyczy zamkniętego środowiska seminarium duchowego. Jest jeszcze powieść *Śmierć w klasztorze* Adrianny Ewy Stawskiej. Czy jest możliwy u nas w Polsce kryminat z prawdziwego zdarzenia, który penetrowałby środowisko duchownych?

Jest jeszcze *Pies pański* Marcina Wrońskiego i jedna z powieści Krzysztofa Koziołka... No, ale rzeczywiście: w wypadku środowisk może nie zamkniętych, ale jednak domkniętych pisa-

rze mają zawsze kłopot z wiarygodną konstrukcją rzeczywistości, i nie dotyczy to tylko polskich autorów. Mnie samego, gdy pisałem *21:37*, bardziej zajmowało nie tyle środowisko, ile kwestia pewnej nieprzejrzystości: co się może stać – zadawałem sobie pytanie – gdy mamy do czynienia ze światem, który rządzi się własnymi regułami, które są nieczytelne dla tych „z zewnątrz”, i gdy zawodzą mechanizmy kontroli społecznej? *21:37* to powieść, za przeproszeniem, o transparencji, nie zaś polskim Kościele.

Postać literackiego detektywa często ma cechy mnicha czy kapłana... Choć z drugiej strony, ciężko byłoby uznać Rudolfa Heinza czy Eberharda Mocka za ojców duchownych...

Co najmniej od czasów Philipa Marlowe’a – bohatera powieści Raymonda Chandlera – mamy do czynienia z pewnym wzorem bohatera, który, nawet jeśli nie jest ascetą, to wyróżnia się pewnym rygoryzmem czy niezłomnością. To bohaterowie z pewną misją – powołani, by w świecie przepelnionym przemocą ukarać zło. Często są to postaci graniczne i tragiczne, które niewiele dzieli od tego, by znaleźć się po ciemnej stronie mocy. Na swój sposób bliski jest im aforyzm Nietzschego traktujący o tym, że jeśli wejrzysz w otchłań, to ona wejrzy w ciebie.

W dzieciństwie fascynowały mnie wzorowane na komiksach okładki książek Joe Alexa. Szczególnie jedna z nich rozpałała moją wyobraźnię – tom *Jesteś tylko diabłem*. Na okładce wąż, ślady kopyt, rogacizna bestii... Pozostawiając na boku symboliczny sztafaż – wyobraża Pan sobie, żeby detektyw był w stanie pojmać, schwytać diabła w postaci wcielonej?

Doskonale pamiętam te okładki! Generalnie w kryminałach zło przekracza wymiar banału i prezentuje diabelskie oblicze, choć przywdziane w ludzką skórę. Jeśli chodzi o prawdziwy zapach siarki, to tu jednak autorzy horrorów są nie do pokonania. To ich specjalność. I niech tak zostanie.

A stworzony przez Pana psychopatyczny morderca Inkwizytor? Jest nader diabelski...

Recenzenci czynią mi zarzut, że Inkwizytor to taka inkarnacja Hannibala Lectera. Tymczasem uważam, że autor kryminałów powinien zadbać nie tylko o postać bohatera, lecz także wyraziście nakreślenie jego antagonisty. Czy aby na pewno Holmes byłby detektywem wszech czasów, gdyby nie cień demonicznego profesora Moriarty'ego? Czy tak samo byśmy na niego patrzyli, gdyby zabrakło tej genialnej sceny, gdy obaj, w Ostatniej zagadce, spotykają się nad wodospadem Reichenbach, by stoczyć ostatni pojedynek? A wracając do Inkwizytora... Ten byłby duchowny zbyt dosłownie przejął się formułą, że zło należy wypalać żywym ogniem. To człowiek bez wątplenia inteligentny, który znakomicie potrafi manipulować innymi. Ale, jak wszyscy, on także ma słaby punkt – jest nim miłość do siostry, o czym mowa w Kołysance dla mordercy. Nie zdradzając zdarzeń, które nastąpią, powiem tylko, że Inkwizytor nie powiedział jeszcze ostatniego słowa.

Bohaterowie literaccy kryminałów to najczęściej ludzie ułomni, z jakimś defektem: Harry Hole to alkoholik, Kurt Wallander ma popaprane relacje z córką, Malin Fors zagłusza ból po rozwodzie alkoholem i ostrym seksem ze znajomym dziennikarzem. Dlaczego my ich lubimy?

Bo lubimy everymanów, a nie supermanów. Trochę jak w średniowiecznych misteriach. To jeszcze jeden z powodów, dla których czytamy współcześnie kryminały.

Chce Pan powiedzieć, że detektyw daje nam swego rodzaju wsparcie duchowe?

Odpowiem najbardziej ogólnie, jak się da, ale taka właśnie odpowiedź wydaje mi się prawdziwa. Choćby detektyw staczał się i pił o galon więcej niż Marlowe, choćby potykał się o trupy, ostatecznie jest po stronie żywych. Kryminał, podobnie zresztą jak każda inna forma twórczo-

ści, jest afirmacją życia. Na tym polega wsparcie duchowe, jakie niesie także ta literatura.

Chesterton stworzył niegdyś postać duchownego detektywa, księdza Browna. Polacy zachwycili się detektywem w sutannie, ojcem Mateuszem. Czy współcześnie postać księdza-detektywa jest wiarygodna?

Z tą wiarygodnością księży-detektywów jest spory kłopot. Oczywiście raz każdemu może zdarzyć się poprowadzić prywatne śledztwo, ale, by czynić to regularnie, trzeba mieć, tak to nazwijmy, zaplecze operacyjno-logistyczne. Dlatego na postaci detektywów w sutannach należy spojrzeć metaforycznie: i detektyw, i duchowny zaglądną do naszych sumień. Pierwszy – poprzez przesłuchanie, drugi – poprzez spowiedź.

Zastanawia mnie swoiste „boskie milczenie” prowadzących śledztwo. Nawet gdy sprawca pozostaje wręcz diabelsko nieuchwytny, a zbrodnia przeraża niczym płótna Hieronima Boscha, żadnemu nie wyrwie się inwokacja bezradności w stylu: o Boże, Jezu, pomóż et cetera. Świat literackich zbrodni zdaje się nieprzemakalny na obecność Boga.

Myszę, że koncepcja Deus absconditus – Boga ukrytego, którego znajdujemy między innymi w pismach Pascala i jansenistów – byłaby bliska światu w kryminałach. Paradoksalnie detektyw też musi się oddalić, choć na chwilę, od prowadzonej sprawy: spojrzeć na nią z dystansu, ostudzić emocje i osobiste odczucia, by odnaleźć sprawcę. Oczywiście, potem znów wkroczy w sam środek zdarzeń, ale, tak czy inaczej, nie tylko „boskie milczenie”, lecz też „ludzkie milczenie” – ów akt oddalenia, znajdziemy w powieściach kryminalnych.

W 21:37 napisał Pan, że istnienie policji jest koronnym dowodem na nieistnienie Boga...

Już jako studenta w filozofii średniowiecznej pasjonowały mnie dowody, które miały zaświadczyć o istnieniu Stwórcy. Od, powiedz-

my, Anzelma z Canterbury po świętego Tomasa. Jest w tym dowodzeniu jakaś nierówność sił, coś na kształt walki Dawida z Goliatem, Adamka z Kliczką (rozmawiamy w maju, więc cholera wie, jak to starcie się skończy), zetknięcia jednostki z nieskończonością, by przywołać, o ile pamiętam, formułę z książki Leszka Kołakowskiego. Więc na potrzeby powieści, w której są i policjanci, i seminarium duchowne, wymyśliłem taki własny dowód. Ponieważ nie sposób dowieść jego prawdziwości (więc skądinąd żaden to dowód), można równie dobrze powiedzieć, że istnienie policji przemawia na korzyść Boga. Słowem: wszyscy mogą być zadowoleni, choć tylko niektórzy w siódmym niebie.

Detektyw zanurzony w świecie wiary, praktykujący buddysta, muzułmanin czy katolik – ostałby się w literackim Mieście Grzechu?

Ależ tak się dzieje! Przypomnijmy choćby postać Sonchaia Jitpleecheepa, tajlandzkiego policjanta, buddysty z powieści Johna Burdetta Bangkok 8. Można oczywiście utyskiwać: cóż to za buddyzm rozpięty między prostytutką a korupcją, ale ostatecznie na tym osobliwym melanzu tajskiej kultury i duchowości zasadza się wartość tej świetnej książki.

Rudolf Heinz stwierdza w Kołysance dla mordercy, że policjanci powinni życzyć sobie wszystkiego najgorszego. To trochę szokujące. Dlaczego najgorszego?

W tym świecie nic dobrego nas nie spotka. Bądźmy przygotowani i oswojeni z tym, co nastąpi. Ale tak naprawdę spodobało mi się samo powiedzenie, które wymyśliłem. Nie wyciągałbym z niego jednak zbyt daleko idących wniosków.

Interesuje mnie swoisty rys ascetyczny, który nadał Pan swojemu bohaterowi – Rudolf Heinz ćwiczy karate tradycyjne. Skąd pomysł, aby wprowadzić karate do życiorysu hipisa?

Sam trenuję karate, mam, na razie, brązowy pas. Chciałem nasycić Heinza pewnymi moimi cechami, stąd sztuki walki i gitara. Generalnie jednak w karate chodzi przecież nie o wymiar sportowy, ale duchowy: to forma samodoskonalenia się, próby charakteru, dbania o stabilne emocje – zarówno swoje, jak i przeciwnika. Poza wszystkim karate to jeszcze jedna metafora walki, jaką Heinz musi toczyć z różnymi złymi ludźmi. Przyznam też ze skruchą, że przez ostatnie pół roku za dużo siedziałem za biurkiem, a zbyt mało zaglądałem do dojo. Trzeba to zmienić.

Chciałbym zapytać o plany na przyszłość. Nad czym obecnie Pan pracuje – kolejny tom przygód polskiego profilerera czy książka o kryminatach?

Z antropologicznych rzeczy – pracuję wraz z dwoma znakomitymi doktorantami nad książką o piłce nożnej, a właściwie, jak to określiliśmy – postfutbolu. No i czeka mnie kolejny Heinz. Mam nadzieję, że następna część cyklu ukaze się wiosną przyszłego roku. ●